

— Dać mu, niech się posili.

Karczmarz znikł za drzwiami. Żandarmi poczęli się niecierpliwie.

— Co pan myśli, że my tu w karczmie nocować będziemy?

— Ja tego sobie wcale nie życzę. A jeżeli panowie kazećcie, to zaraz siadamy na bryczkę, ale ja panów proszę, zacząć jeszcze na jajejcznicę.

Bolesław zwlekał umyślnie, aby jak najpóźniej wyjechać dalej. Jajejcznica długo się jakoś smażyła. Przy jadłe żandarmi zaczęli być mowniejsi, i nawet się nie postrzegli, że już słońce bardzo nisko zeszło i wieczorny chłód napełniał powietrze. Pierwszy Bolesław zerwał się z siedzenia. Jedźmy, bo będzie za późno!

— Jedźmy! jedźmy! wołali żandarmi, niezadowoleni z siebie, że tak długo odpoczywali. Młody jeniec zapłacił za wszystko i szybko wyszedł z izdebki, za nim straż. Wsiedli na bryczkę i pojechali. Gdy z oczu karczmę stracili, wypogodziły się zagniewane twarze i znowu rozpoczęła się gawędka. Młodszy żandarm uśmiechał się dobrodusznie, widać mało mu zależało na tem, aby powstańca wieść do więzienia, starszy surowy, jak brytan nauczony szczeleć na ludzi i obgryzać im nogi. Z razu konie żwawo pędziły, ale wkrótce rozpoczęła się droga piaszczysta, więc zwolniły biegu i prawie noga za nogą postępowały.

Zachodzące słońce czerwone światło rzucało po okolicy i z jednej strony, jak pożar oświecało pobliski las, rozciągający się daleko bez końca. Wonią kwiatów napełnione powietrze powtarzało daleki skrzek wodnych żabek, a po nad jadącymi unosiły się lekkie chmurki brzęczących komarów.

Bryczka już w las wjechała, Bolesław zańueił wesołą piosenkę.

— Coś pan dziś zanadto wesoły, rzekł dobroduszny żandarm, pamiętaj pan, że po śmiechu płacz nastąpi.

— Zwyczajnie jestem bojaźliwy w lesie. Boję się wilka. Lecz teraz mając tak dobrze uzbrojonych stróżów, niczego się nie obawiam i dla tego jestem wesoły. Jaby tak całą noc jechał, albo wiecie co panowie, wyslijmy najprzód bryczkę a sami idźmy piechotą.

— A to być nie może, rzekł surowo służbista.

— Ta myśl przyszła mi niewiedzieć z kąd i po co, lecz gdy pan mówisz, że być nie może, spróbujmyż. Albo wie pan co, konie i tak idą jak w pługu, przejdźmy przez piaski piechotą, a potem, gdy je minimy, pojedziemy dalej. Panowie, zróbcie to dla mnie, prosił prawie dziecinnie.

Żandarm dziwił się tej swobodzie powstańca. Taki słuszny a jeszcze taki dziecinny. Jeszcze nigdy nie miał takiego więźnia. Pokonany prostotą i dziecinnością kazał stanąć woźnicy. Zaledwie konie się zatrzymały, Bolesław skoczył z bryczki i i w dwóch susach był już w lesie. Żandarm wyskoczył za nim, ale potknął się i upadł, drugi w górę wystrzelił. Oba wreszcie w las pobiegli szukać śladów zbiega. Woźnica podpedził konie i choć po piasku, lekką bryczką szybko się z miejsca oddalił.

Żandarmi przekonawszy się, że napróżno pod noc daleko w las się zapuszczać wrócili na drogę. Nie ma koni! A niech was wszystkich diabli porwą z taką robotą! Wrzeszczał starszy i przeklinał. Lecz cóż robić? Trudna rada, zmrok gęstniał, bór

szumi w około — stać nie ma czego na miejscu. Żli ruszyli po piasku w dalszą drogę z próżnymi rękami i zawiedziona nadzieją przysłużenia się panu staroście żywym Polakiem.

Znajomemi ścieżkami dostał się Bolesław, chociaż po nocy do domu leśniczego. Pan Olski znany z prawości i silnego ramienia daleko w okolicy, już od lat wielu miał powierzony zarząd tyńskich lasów. Podczas powstania czuł i działał, jak każdy prawy obywatel. Trzeba go było w nocy, szedł gdzie go powinność wzywała, wezwano go w południe, wstawał chętnie od objadu, zarzucał strzelbę przez plecy i oddawał się na usługi starszyny. Postanowienia władz powstańczych były dla niego święte, bo słusznie powtarzał, że tylko karnością i posłuszeństwem możemy wrogów zwyciężyć. Jaka była jego powierchowność poznamy, gdy wejdziemy razem z nowym przybyszem do pokoju.

Gdy się nasz powstaniec może po godzinnej wędrówce przez zarośla przedarł na brzeg lasu, ujrzał z daleka z okien leśniczego bijące światło. Podchodzi bliżej ostrożnie. Zgraja psów opadła go ujadając. Nie przestraszyło to wcale podróżnego, znajome psy przywoływał po nazwiskach. Przecichły i tylko mrucząc biegały przed nim. Śmiało zbliżył się do dworku i przestąpił próg domu przyjacielskiego. Kilka osób siedziało przy stole zającąc wieczrę.

— Smaczno...

— Bolesiu! krzyknął jeden z siedzących i skoczył naprzeciw przybyłego. Ciemny bronet, średniego wzrostu, barczysty ubrany w krótką płócienną czamarkę, z zielonymi taśmami. Broda ogolona, pod orlim nosem sterczały sumiaste wąsy. Serdecznie chwycił w swoje ramiona młodego przyjaciela, a sciskał go tak szczerze, że powstaniec słowa nie mógł wypowiedzieć, choć także dobrze był zbudowanym.

— Siadajże z nami do stołu i powiedz z kąd przychodzisz tak późno. A może co pilnego?

— Jest rzecz pilna, chodźmy do kancelaryi.

Wyszli z pokoju, towarzystwo pozostałe zwolna znowu zabierało dawne miejsca, gdyż przedtem stojąc przypatrywało się scenie powitania.

Na przeciwnej stronie Bolesław wypruwał jakieś papierki, z rękawa i dawał Olskiemu.

— Pan musi zaraz wyjechać z ludźmi i odkopać. Ja sam bym z Wami pojechał, ale już trzy nocy nie spałem, muszę trochę odpocząć.

— Ale jadę, jadę w tej chwili, a mój dom na pańskie usługi.

— Szczęściem, że się wydostałem z niewoli.

— Jak to, z jakiej niewoli?

— Już mię żandarmi wieźli do kozy. To by było parskudnie. Tam oddział czeka zorganizowany na broń nad granicą.

— Ale, jakże to było, mów pan, bom bardzo ciekawy!

Tu Bolesław w krótkich słowach opowiedział o swoim uwięzieniu i ucieczce i tak kończył: Teraz Pan z ludźmi wyjedzie, jednego pobereźnika poszle pan do Tyna do dworu podwodę. Niech na mnie czeka raniutko w lesie Sawulak, aby z tąd wyjeżdżając nie zwrócić uwagi, i tak was szpieguje! W południe zjedziemy się u trzech kopców.